



Wody Polskie

POZNAJCIE NASZYCH SPECJALISTÓW

Jan Kowalewski

Pracownik Wód Polskich i kapitan żeglugi śródlądowej od ponad 40 lat pływa po jeziorach. Prowadził m.in. lodołamacze, a teraz zawiaduje „Kobuzem” – specjalnym holownikiem służącym do usuwania przeszkód ze szlaków żeglugowych. Pytamy, dlaczego związał swoje życie z wodą i czego go to nauczyło.



Państwowe
Gospodarstwo Wodne
Wody Polskie

CAŁE ŻYCIE SPĘDZIŁEM NA WODZIE



Czy będąc małym Jankiem wyobrażał Pan sobie, że kiedyś zostanie kapitanem?

Tak się jakoś potoczyły moje losy. Na początku ojciec wciągnął mnie do wodnej budowlanki: robiliśmy mosty, umacnialiśmy kanały, można powiedzieć, że właśnie wtedy „złapałem rzeczynego bakcyła”. Gdy w 1977 roku wyszedłem z wojska, poszedłem do marynarki, a później zdobywałem kolejne stopnie i uprawnienia. Zostanie kapitanem to nie była prosta sprawa, żeby ubiegać się o patent oficerski trzeba było mieć udokumentowane 3 lata pływania. No, ale jakoś mi się udało – jestem kapitanem już 35 lat.

Sporo musiało się przez ten czas wydarzyć...

To prawda: pływałem na różnych jednostkach. Siedem zim spędziłem na „Tygrysie” – słynnym już lodołamaczu. Warto wiedzieć, że lodołamacze wykorzystuje się nie tylko zimą do kruszenia lodu. Czasem trzeba było np. zaciągnąć gdzieś pogłębiarkę, to też brało się lodołamacz, bo to jest jednak silna maszyna. Może dlatego większość lodołamaczy nosi nazwy dzikich, walecznych zwierząt, takich jak jaguar, orka, puma, dzik... W takiej pracy trzeba być twardym i cierpliwym. Kiedyś staliśmy dwa miesiące w Siekierkach, bo po Wiśle szedł taki lód, że nie mogliśmy dopłynąć do Krakowa. Dowieźli nam koks, żebyśmy mogli się ogrzać. No i jakoś te dwa miesiące przetrzymaliśmy. Swoją drogą, nie wiem, czy dzisiaj młodzi marynarze daliby radę tak stać... (śmiech). Niestety, zauważyłem, że młodzi ludzie nie są dziś tak chętni do pracy. Ja, gdy zaczynałem, to zbierałem

pajęczyny z kątów i myłem okna, żeby kapitan, gdy wejdzie na pokład, był zadowolony. Teraz sam sobie sprzątam statek. Ale jak przychodzą do mnie młodzi marynarze, to chętnie pokazuję, jak którą linię zapleść, bo robię to odruchowo. Jestem, jak to mówią „ze starej szkoły”.

Czy Pańska praca bywa niebezpieczna?

Na pewno wymaga dużej odporności na stres. Czasem trzeba podejmować szybko trudne decyzje, a czasem ryzykować. Kilka razy zdarzyło się, że musiałem nurkować, bo hol pękł albo nawinął się na śrubę i trzeba było odciąć statek, by nie zatrzeć silnika. Zdarzało się, że zrywały się barki i musieliśmy je łąpać. Z wiekiem człowiek się wyrabia. Ważne, by trafić na ludzi, którzy chcą cię czegoś nauczyć. Gdy byłem młodym marynarzem, miałem świetnego kapitana. Kiedy odchodził z pracy dał mi swoją mapę całej Narwii, zaznaczył, gdzie są wyspy, w których miejscach trzeba uważać, by nie wplłynąć na mieliznę. Ale i tak, gdy po raz pierwszy płynąłem jeziorem i zobaczyłem most, to byłem spocony jak mysz. Kiedy się ciągnie za sobą zestaw, który waży dwieście ton, a człowiek nie wie, co go czeka za zakrętem, to normalne, że się denerwuje. Teraz jestem już w stanie wplłynąć bokiem, tyłem i niczym się nie stresuję. Jednak, żeby dojść to tego momentu, musiało minąć dobrych parę lat. W międzyczasie pływałem na różnych maszynach: lodołamaczach, holownikach itp. O starych taksówkarzach mówi się, że poprowadzą każdy pojazd. A ja jestem jak taki doświadczony wodny taksówkarz: popłynę wszystkim, co porusza się po wodzie.

„Rzeka wymaga pokory i – choć trzeba być zdecydowanym – nigdy nie należy czuć się zbyt pewnie. To nie jest łatwa profesja – wymaga cierpliwości, ciężkiej pracy, ale też siły fizycznej.”

Był jakiś rejs, który szczególnie zapadł Panu w pamięć?

Miałem wiele przygód, ale nadal dobrze pamiętam pewną burzę z 2010 r. Ciągnęliśmy przez Zalew Włocławski jakieś trzysta ton na haku, m.in. refulery (pogłębiarki ssące), pogłębiarkę, żeby zasypać przerwany wał w Świniarach. I nagle pod Płockiem złapała nas burza. Grzmiało i wiało tak, że światła nie było widać. Kazałem załozie zebrać wszystko, co było na pokładzie, zamknęliśmy się w środku, ale nikomu nie było do śmiechu. W Płocku nurt niesie, szczególnie jak się płynie między mostami. My staraliśmy się powoli dryfować, byle w górę, byle do przodu... Udało się, ale tę burzę zawsze będę pamiętał.

Aktualnie pływa Pan na „Kobuzie”.

Jak taka praca wygląda na co dzień?

„Kobuz” to specjalistyczna jednostka, wyposażona w pchacz i barkę, która służy do utrzymania szlaków wodnych. Pływamy w Krainie Wielkich Jezior i dbamy o to, by szlaki żeglugowe były drożne. Moja codzienna praca wygląda różnie, wiele zależy od pory roku. Zaczynamy w połowie kwietnia od przygotowania szlaku: wystawiamy boje, oznaczamy szlak. Nawet, gdy sezon się rozpoczyna, nie pływamy codziennie, ale musimy być w gotowości, bo nie wiadomo, co się wydarzy, zwłaszcza, gdy przyjdą

wichury. Jeśli np. dostajemy komunikat, że złamało się drzewo albo nurt porwał karpę (pniak drzewa), to płyniemy w to miejsce i usuwamy przeszkody. Na co dzień płyniemy we trójkę: ja, mechanik i bosman. Ale gdy trzeba np. usunąć powalone drzewa, zabieramy ze sobą pilarzy. Komunikaty często pojawiają się w nocy, więc zwykle zaczynamy pracę o czwartej rano, żeby jak najszybciej usunąć przeszkody. A jeśli nic się nie wydarzyło, to mamy spokojny dzień i wtedy przeważnie poświęcamy go na różne drobne prace na pokładzie: naprawiamy, co trzeba i zajmujemy się renowacją sprzętu.

Żona nie narzeka, że ciągle nie ma Pana w domu?

Przez te wszystkie lata zdążyła się już przyzwyczaić (śmiech), poza tym wie, że ja kocham tę robotę. Jestem już na emeryturze, ale nie wyobrażam sobie życia bez pływania. Jak w tygodniu nie wypływam się na statku technicznym, to w weekend biorę chociaż jakiś rejs pasażerski, bo ciągnie mnie do wody.

Jaką dałby Pan radę młodym ludziom, którzy chcieliby pójść w Pańskie ślady?

Powiedziałbym, że rzeka wymaga pokory i że – choć trzeba być zdecydowanym – nigdy nie należy czuć się zbyt pewnie. To nie jest łatwa profesja – wymaga cierpliwości, ciężkiej pracy, ale też siły fizycznej. Gdy się pływa holownikiem i ciągnie za sobą kilkaset ton, to człowiek tak się namacha sterem, że podczas jednego rejsu może schudnąć kilka kilogramów. Ale za to ma się dobrą kondycję, nawet na stare lata, jak ja (śmiech).

Dziękuję za rozmowę.

*Rozmawiała: **Jowita Hakobert***